Nowy Porządek Gramatyczny na przykładzie fragmentu prozy pt Nagląca potrzeba — Dobra Cobra

Oto nadchodzą nowe czasy i spełniają się nowe sny!

Kto śledzi DoCo, ten wie: nie od dziś wiadomo, że Dobra Dobra jest od lat gorącym promotorem wywalenia z naszego języka tych wszystkich podwójnych liter: ż – rz, h – ch, u – ó! Są nam one absolutnie niepotrzebne, a na dodatek utrudniają komunikację pisaną, zmieniając życie uczniów oraz dorosłych w istny koszmar.

Przecieki z pogranicza rządu i ministerstw: kultury i szkolnictwa wskazują jednoznacznie, że przygotowywana jest wielka i śmiała zmiana gramatyki naszego języka! Wybitni lingwiści na początek wyrzucą z naszego zaśmieconego języka podwójne litery i zastąpią je pojedynczymi. Linia ta jest w stu procentach zgodna z linią DoCo - nie może więc być innej reakcji, jak tylko przyklaśnięcie tym śmiałym planom naszych wybitnych naukowców językowych.

O ileż łatwiejsze stanie się życie uczniów, a także dorosłych, którzy nie będą oceniani, karceni, prześladowani i wyzywani z tego powodu w szkołach i urzędach. Jak uprości się praca pisarzy zawodowych oraz niezawodowych, zwanych amatorami. I o ile więcej czasu dostaną do swojej dyspozycji młode kobiety, które wreszcie będą go mogły poświęcić na robienie paznokci, idealnego makijażu i cykanie fotek na portale społecznościowe - zamiast być torturowane w internecie wbrew woli zbyt ścisłymi zasadami językowymi. I na dodatek narażać się na niewybredne wyzwiska od językowych purystów.

Nadchodzi wolność!

W przypadku powodzenie nowej reformy nie jest wykluczone, że kolejnym krokiem Rady Języka będzie pójście o krok naprzód: wyrugowanie z języka polskiego kolejnych liter: ś na s, ć na c i ż na zwykłe z i ł na l. I to będzie już totalna wolność.

Uczeni są zgodni w przewidywaniach, że Naród pojmie nowe zasady w mig, gorzej będzie z tradycjonalistami, przywiązanymi do niewolniczego stawiania różnych odmian tych samych liter. Wydawnictwa już zapowiedziały srogie egzekwowanie nowego prawa językowego, co wydajnie pomoże w jego

wprowadzeniu oraz osadzeniu w kulturze. Wszak w jak piękny sposób udała się autocenzura dzieł amerykańskiego pisarza Jacka Londona - w ramach poprawności politycznej pozamieniano mu wszędzie wyraz *Negro* na łagodniejszy, pasujący do naszych czasów. A przecież jeszcze do niedawna wszyscy nazywali Murzyna: czarny… W związku z czym czeka nas w najbliższych latach wysyp podobnych „podmian" literowych nie tylko w książkach, ale też w dziełach filmowych. To dopiero będzie majstersztyk…

Dobra Cobra wychodzi tu zatem niejako z forpocztą nowego, które już idzie i czuć jego (nowego, nie Cobry) oddech…

Zobaczcie sami.

++++++++++++++++++++++++++++++

Dobra Dobra przedstawia dzieło Nowego Porządku Gramatycznego, pt Nagląca potrzeba.

- Tamto lato też było tak upalne - powiedział siedzący obok mnie facet. Odwruciłem głowę, by spojżeć mu w oczy. Po wyrazie tważy zazwyczaj można rozpoznać, kto gada z sensem, a kto nie. Ten człowiek był jakiś taki zrezygnowany, a jego wzrok uciekał gdzieś za horyzont, daleko poza atrakcje Dorocznego Święta Plonuw.

W ręce tżymał butelkę z piwem, kturą uniusł, gdy nasz wzrok wreszcie się spotkał.

- Za tyh, co na możu? - nieśmiało zaproponował toast.

- Może być - uśmiehnąłem się. - Im szczęścia nigdy za wiele. Nasze butelki bżdęknęły jedna o drugą. W milczeniu pżepiliśmy kilka łykuw zimnego napoju.

- Z miasta? - zagadnął.

- Tak. Żona stąd pohodzi i często wpadamy tu rodzinnie.

- A ja stąd…

Milczałem. Facet odsunął nieco książkę, ktura leżała obok jego uda i rozparł się na skleconej na szybko długiej ławie, ktura miała ułatwiać biesiadowanie zgromadzonym na Święcie. Po dłuższej hwili wyciągnął rękę i powiedział:

- Nazywam się Stanisław Potęga, dla znajomyh Staszek.

- Miło mi, jestem Zbigniew Toast - odwzajemniłem uścisk. - Ale wbrew nazwisku moje życie nie jest ferią niekończącyh się zabaw i fajerwerkuw.

- Wiadomo - uśmiehnął się mężczyzna i spuścił głowę. Po hwili zaczął swoją opowieść.

- Tamtego lata o świcie poszedłem się potoknąć w jezioże. Sezon żniwny był w pełni, więc młuciliśmy do puźna w noc, posiłkując się zapalonymi reflektorami w traktoże. I z tego pośpiehu człowiek nawet nie wracał do domu na noc, tylko żucał płahtę na snopki i tak kimał parę godzin, pozostałyh do świtu. Następnego dnia zabiłem też kobietę…

Dobra Cobra pżedstawia opowieść ze wszeh miar dramatyczną, gdzie występują wielkie mikro i makro zagrożenia, kture tradycyjnie spotykają bohateruw, a ci tradycyjnie są zmuszeni za wszelką cenę je pżemuc, a nawet pokonać pży użyciu wszelkih dostępnyh pod ręką sił, aby pżeżyć i dalej godnie żyć, pt.

Nagląca potżeba

Część 1

Biada temu, kto wyrusza i nie powraca.

Oskar Miłosz

Doroczne Święto Plonuw było tradycyjną, huczną imprezą, na kturej prezentowano gospodarskie zwieżęta i ih umiejętności. Ale święto było także miejscem wymiany wiedzy, pokazania nowinek z wojewudztwa jak i zakomunikowania planuw gminy na nadhodzący okres. Na ludycznym festynie wprowadzano na rynek nowe odmiany roślin i środki, służące do ih ohrony. A nade wszystko Święto Plonuw było spędem toważyskim, bo nie ma nic piękniejszego, niż zobaczyć na żywo znajomyh z odległyh zakątkuw gminy.

Setki ludzi spacerowało w tę i z powrotem, tżymając w ręku nieodłączną watę cukrową czy kolorowe lody, spżedawane wprost z ciężaruwki - hłodni. Sportowa stżelnica kusiła śmiałkuw wygranymi, a gromady piszczącyh dziewcząt, popyhane pżez hłopcuw, kręciły się wokoło na karuzeli. A to wszystko odbywało się pży soczystyh dźwiękah strażackiej orkiestry.

- Zabił pan kobietę? - spytałem.

- Tak to pżynajmniej wyglądało - ni to potwierdził, ni zapżeczył pan Staszek. - Nazywała się Zofia Ślapeta, była gminnym rahmistżem i węszącą wszędzie kontrolerką. Pżybywała zawsze w najbardziej nieoczekiwanyh momentah, a traf hciał, że popżedniego wieczoru pżyjehała na kontrolę do nas. Każdy się jej bał, bo intensywnie tropiła śladuw jakiejkolwiek niegospodarności, kradzieży czy oznak zwyczajnego obijania się. Gdy pżybyła, Spierdalaj już sobie poszedł do domu…

- Spierdalaj?

- Tak nazywał się wioskowy głupek, ktury nie skończył żadnyh szkuł, ale garnął się do każdej roboty. Nie miał rodziny, nie miał też żadnyh oporuw, by wpadać do kogoś bez zapowiedzi. Ludzie dawali mu coś z obiadu czy kolacji, bo był sam jak palec i wiudł naprawdę marny żywot w walącej się hacie, odziedziczonej po dziadkah.

- A skąd się wzięła ta jego ksywka?

- Nie miał daru do wykonywania powieżonyh mu prac i był dość namolny w tym łażeniu po ludziah. Więc co pewien czas go pżeganiano, kżycząc: - Spierdalaj! I tak mu zostało. Latami usługiwał do mszy i nawet nosił kżyż na czele pogżebuw, ale z powodu skarg parafian proboszcz wywalił go z roboty, bo nikt nie życzył sobie widzieć nad grobem ciągle uśmiehającego się głupka.

- A był głupkiem?

- To nie jego wina, że coś tam mu po pijaku tatuś nie dorobił w głowie. Ale może to też po części wina Helki, ktura dała się napompować i urodziła dzieciaka, bo może miała jakiś feler w genah… W każdym razie Ślapeta zaglądała wtedy w każde miejsce, pilnie notując każde moje słowo. Pytała, ile procent ziarna się marnuje, czy mamy właściwe zużycie workuw i sznurka i czy nie robimy pżepałuw paliwa. Gdy po godzinie pżesłuhań żądała wpuszczenia do wnętża młockarni, nie oponowałem. Może miała nadzieję znaleźć tam jakąś tajną dziurę, pżez kturą zboże wysypywało się z maszyny, a może dobże ukrytą beczkę z kradzioną ropą? Kto ją wie, co wtedy myślała, ale wszedłem tam za nią. Było ciemno i mało miejsca, więc siedzieliśmy prawie jak pżysłowiowe śledzie w beczce. Ślapeta zapaliła latarkę i coś tam prubowała

węszyć, ale gdy zaczęła się kręcić i pżypadkiem dotknęła się mnie tyłkiem, zareagowałem tak, jakby na moim miejscu zareagował każdy mężczyzna. Uniosłem jej spudnicę i hwyciłem za pośladki, na co ona natyhmiast zaczęła kopać i wić się, by uwolnić z pułapki zagrożone ciało. Pżez pewien czas trwała taka wściekła szamotanina, ale gdy wreszcie założyłem jej ojca - od razu się uspokoiła i po pomrukah wiedziałem, że nawet jej się to spodobało. Bo muwią, że księgowy lubi grube… sumy.

hyba nie byłem gotowy na słuhanie aż tak intymnyh wynużeń.

- Ta pani też nade wszystko inne uwielbiała coś mięsistego między nogami… - ciągnął pan Staszek. - Nie wiedziałem tylko, co nastąpi rankiem, bo pżecież była oficjalnym użędnikiem z gminy, czyli pośrednio jakimś moim szefem. Prubując określić ją na wzur rodzinnyh koligacji to mogła być kimś w rodzaju stryja pżełożonego.

Pociągnęliśmy po łyku piwa.

- Maszynę uruhomił muj głupi pomocnik, od niedawna pracujący na bazie jako facet od wszystkiego-. Płukałem akurat w żece tważ z mydlin, gdy nagle usłyszałem pracującą na polu młockarnię. żuciłem się pędem w stronę maszyny, kżycząc: - Spierdalaj! - i z całyh sił odephnąłem cymbała, ktury akurat wystawiał tważ do słońca i drapał się pod pahą.

- Ale co? - zdziwił się baran. - Włączyłem maszynę, co by ją pżewiać pżed robotą.

W wielkim pośpiehu doskoczyłem do wyłącznika prądu i pżesunąłem wajhę w duł. Ale było już za puźno. Ze zgrozą wpatrywaliśmy się we dwuh w powoli spływającą z młockarni ciemnoczerwoną krew.

3

Akurat trwało święcenie zwieżąt gospodarskih, gdy siedzący obok mnie pan Staszek nieśpiesznie kontynuował opowieść.

- Eugeniusz Jahyba - ktury poduwczas zażądzał referatem ohrony roślin w gminie Oświeca - był człowiekiem z powołania, a nie z partyjnego rozdania. Dbał o państwowy majątek, jak o swuj. Kilka lat po wypadku Ślapety, jak sprawa się zabliźniła, wziął mnie na stronę i głosem nieznoszącym spżeciwu delegował na wyprawę, objętą tajemnicą

- Tajemnicą?

- Pojawiło się realne zagrożenie, bo wykluł się nowy szkodnik, taka nowoczesna forma mega stonki. Żarło toto wszystko, co popadło i ogołacało pola z plonuw w zastraszającym tempie. Więc pan Jahyba powiedział, że może tylko taki jeden dawny specyfik by coś na to pomugł, bo nowoczesne środki ohrony roślin nie dawały rady wobec tej plagi. No, ale jego produkcję wstżymano wystarczająco dawno temu, żeby go można go było teraz zdobyć drogą zakupu. I wobec niemocy nowoczesności wystąpiła nagląca potżeba, żeby sprubować raz jeszcze sięgnąć po dawne zdobycze socjalizmu.

- I co było dalej?

- Pan Jahyba pżypomniał mi tragiczny wypadek z młockarnią i zagroził, że jak pisnę hoć słowo o tej akcji, na kturą mnie wysyła, to ponownie skieruje sprawę do sądu, a tam nie będą się ze mną patyczkować tak, jak popżednio. Na pożegnanie wręczył mi mapę, na kturej wskazał cel; dawno zapomniany magazyn, położony na krańcu gminy.

- W dwa dni puźniej zebrano nas w pustej hali po dawnym pegeeże. Na środku stały tży stare wojskowe ciężaruwki - z pakami szczelnie okrytymi brezentową plandeką - a obok nih pięciu facetuw, z kturyh jednym był… Spierdalaj.

- Ten głupek? - spytałem.

- Zadałem to samo pytanie panu Jahybie. - *Trudno jest znaleźć straceńcuw do tej misji, więc hłopak też musi jehać* - powiedział. - *Ale to, panie Staszku, zawsze jeden pomocnik więcej, bo pżecież tżeba będzie załadować ten ciężki towar, a może po drodze pżytrafi się jakaś guma, samohud zagżebie się w błocie, czy nastąpi jakaś inna awaria.*

- I tak ruszyliśmy na tę wyprawę. Wyprawę, kturej nie zapomnę do końca życia.

4

Nieoczekiwanie nadciągnęły silne deszcze. Jehaliśmy razem, powoli pżekraczając coraz bardziej wezbrane żeki i strumienie. Pięliśmy się w gurę, by po kilku kilometrah zjeżdżać w duł w coraz większym błocie. Nasz region ma krajobraz iście pagurkowaty, muwili na to w szkole, że to… - pan Stanisław

szukał pżez hwilę odpowiedniego słowa - O, już mam: krajobraz morenowy.

Staraliśmy się jehać wzgużami, bo wtedy było mniejsze ryzyko ugżęźnięcia. Wszędzie jedno wielkie bezludzie, jak na Księżycu. To kraina, w kturej nikt nie żyje. No, prawie nikt, bo w zagubionyh pżez Boga i ludzi osadah zamieszkiwały - poukrywane wśrud zieleni - małe społeczności. Teraz - jeśli jeszcze nie powyjeżdżali za robotą po świecie - żyją pewnie głownie z zasiłkuw, bo rolnictwo w tyh rejonah już wymarło i nikomu niczego nie opłaca się hodować ani uprawiać. Od tego mamy pżecież hińczykuw… i sklepy.

Po cztereh dniah powolnej jazdy dojehaliśmy na miejsce. Tżeba było łopatą rozwalić solidny łańcuh na stalowyh dżwiah magazynu, ktury - mimo upływu lat - tżymał się nadzwyczaj dobże. Gdy weszliśmy do wnętża, naszym oczom ukazały się stosy środka, po ktury pżyjehaliśmy.

- A co to był za środek? - hciałem wiedzieć.

- Jak on się miał nazywać… zaraz, mam tu gdzieś zapisaną jego nazwę… - pan Potęga ostrożnie odstawił butelkę na okalający plac betonowy murek i pżez hwilę wpatrywał się intensywnie w niebo. - O, hyba jakoś tak: Dihlo… feny…lotrihlo…ro.…

- To w ogule jest coś takiego?

5

Pokazy strażackie wprawiały zebraną na Święcie Plonuw publiczność w dobry nastruj. Kolejne konkurencje oglądano z zainteresowaniem, okżykami dopingując swoih ulubieńcuw.

- I co było dalej, panie Staszku? - dociekałem.

- Po załadowaniu całego towaru zaczęliśmy się kłucić, kturędy powinniśmy wracać, bo poziom wud był coraz wyższy. Czy było jehać na skruty wzdłuż żeki, czy raczej wzgużami, pżez co droga się wydłuży, ale uniknie się zdradliwego błota. Wreszcie postanowiliśmy wracać tą samą drogą, niejako po śladah, kture oczywiście dawno zmyły coraz większe ulewy. Ale musieliśmy zacząć zdrowo zasuwać, żeby jak najszybciej wyjehać z tego zdradliwego, coraz bardziej gżąskiego terenu.

Dobże, że nie pojehaliśmy dołem, bo tam woda już wyraźnie wylała i pżebicie się tamtędy byłoby możliwe hyba dopiero za parę miesięcy. Łudziliśmy się, że zdążymy pżekroczyć żekę pżed kulminacyjną falą, ktura już się zbliżała do mostu, a o kturej coraz bardziej pżestżegano w radiu.

Gdy brnęliśmy z błocie tżeci dzień z żędu, w nasze szeregi wkradła się zgożel zwątpienia. Jeden z hłopakuw zaczął dramatyzować, ze im dłużej będziemy się stykać się z guwnem, kture pżewozimy, tym większe szanse, że nabawimy się jakiejś pohemicznej horoby. Do pżodu phała nas więc nie tylko wiara, że w domu czekają nas zaszczyty i nagrody, jakie pżed wyjazdem obiecywał pan Jahyba.

Powrut był jednak napiętżony coraz większymi trudnościami. Kolejna potężna nawałnica z piorunami całkowicie posypała naszą solidarność. Każdy hciał wrucić jak najszybciej do domu. Jedni prubowali uciekać ciężaruwką na pobliskie wzguża, ale koła kręciły się w błocie i pżez to posuwali się do pżodu bardzo powoli. Drudzy ruszyli w duł w stronę żeki, licząc na łut szczęścia, ktury pozwoli im szybko dotżeć do mostu, nim krytycznie podniesie się poziom wody i pżeprawa będzie już niemożliwa.

- Ale pżecież Niemcy podczas drugiej wojny postawili wał, ktury miał stżec mostu i okolicznyh upraw - powiedziałem. - Wiem to od rodziny.

- Niemiec postawił wał, hcąc zabezpieczyć nowo zdobyte ziemie - pżytaknął pan Potęga. - Jednak zahowywał też rozlewiska. Nasze puźniejsze żądy też regulowały żeki, tyle, że było to robione bez pomyślunku - na ilość, a nie na jakość. I to wszystko spowodowało, że wysoka woda nie rozlewała się już w naturalnyh rozlewiskah, kture zagospodarowano, a szła wielką masą w nowym, prostym jak stżała korycie. I bardzo często z tego powodu wylewała, bo było jej za dużo. Jak tamtego lata…

6

- Stać! - kżyknął nagle Spiedalaj. - Nie ma co za nimi jehać.

- Dlaczego?

- W dole wszędzie stoi woda i wszystko jest już i tak niepżejezdne.

Byliśmy naprawdę pożądnie zmęczeni, minęły pżecież już tży dni tej uciążliwej pżeprawy, spędzone

praktycznie bez snu. Puściłem więc gadanie hłopaka mimo uszu, prubując szybko wymyślić, kturędy jehać dalej.

- Hyba będzie lepiej, jak wrucimy do tamtego sosnowego zagajnika - zasugerował Spierdalaj. - Jest położony na piaszczystym terenie, a w piaszczyste podłoże zawsze wsiąknie woda.

Wyżucałem losowi, że też musiałem na swojej drodze napotkać tego głupka. Najpierw sprawa ze Ślapetą, a teraz to. Nie miałem jednak pomysłu, kturędy jehać, a argument Spiedalaja wydawał się być sensowny. Skierowałem ciężaruwkę we wskazane miejsce, a spod kuł samohodu wytryskiwały coraz większe piuropusze wody.

Nad ranem zrobiło się dość hłodno, ale nie aż tak, jak w pżysłowiowej psiarni. Drżąc z zimna zajżałem na pakę. Na szczęście nie było śladuw, by brezent gdzieś pżeciekał, a towar wyglądał na suhy. Pżecież musieliśmy dowieźć jak najwięcej tego dawno nie używanego środka, by muc zlikwidować straszną plagę mega stonki i uratować pola naszej gminy pżed nowym szkodnikiem.

Ale gdy się trohę bardziej rozjaśniło, mogłem powiedzieć tylko jedno:

- O, kurdwa.

Okazało się, że niehcący dotarliśmy do… Pżeklętego Wzguża.

- Pżeklętego Wzguża? - wykżyknąłem szczeże zdziwiony, a oszroniona butelka piwa omal nie wypadła mi z dłoni. Kilku najbliżej siedzącyh festynowyh gapiuw spojżało na mnie z ukosa.

- To takie miejsce w ogule istnieje? - spytałem już nieco ciszej. - Coś tam starsi ludzie niehętnie o tym gadają, ale…

- Ono istnieje… - potwierdził pan Staszek, po czym pociągnął duży łyk coraz cieplejszego browara. - Spierdalaj od razu wpadł w histerię i kżyknął w panice: - *Aaaa! Ja nie hcę umierać!* - po czym żucił się pżed siebie w gęstą mgłę.

++++++++++++++++

Czyż tekst nie ma teraz zapisu uniwersalnego, gdzie ludzkość nie będzie sobie już nigdy więcej łamała głowy, jakie ż napisać, ch czy h, ó cz u. Koniec niewoli interpunkcji, totalne uproszczenie języka. A oto dopiero pierwsza faza… ;)

Co myślicie? Czy taka zmiana zapisu będzie to ułatwieniem językowym? Zapraszam do dyskusji pod dziełem...

Dobra Cobra

==========

Ciąg dalszy opowieści Nagląca potrzeba na oficjalnej stronie Dkbrrj Cobry: https://www.dobracobra.pl/naglaca-potrzeba-1/

Zapraszam do lektury.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dobra Cobra, dodano 12.02.2022 18:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.